

Redakcja Literacka
Autor: Tadeusz Petrykowski

Dnia: 4. IX. 69

Godz. 10:25

POLICJA
BYDGOSZCZ

szereż się
na ogłoszenie

Nr

13.08.69

data

1625
22 00
JL
pobit

SZKIC NIEROZSTRZELANEGO

Rzędem wstają drzazgi na poręczu mostu, przez który trzeba przebiec, dudnią głucho deski pod butami, poręcz jeży się wciąż nowymi, złotawymi bliznami i dopiero wtedy poznają daleki jazgot ich cekaemów, one są chłodzone powietrzem, nie trafili jednak, skurczybyki, to już żwir za mostem, chrzęst pod butami, tu gdzieś muszą być nasi, sucho w gardle i krew podbiega kamieniem do krtani, wyschłe, zdrewniałe wargi rozrywa krzyk: amunicjaaa...

Jest przekłęcie pusto, w grobie nie może być ciszej, z lewej biały dom, plebania, bo zaraz kościół, więc pięścią w futrynę, pistolet w garści, zaglądam: jeden, dwu, dziesięciu, policjanci rezerwy, ogłupiali, wpatrzeni w mój pistolet trzymają jak na grottgerowskim rysunku Lebele, Berthiery, pukawki warte śmiechu lub kopniaka. Odpowiadają: nie, nie ma nikogo, nie widzielim, idź-że człowieku, modlą się, klną i gramolą na czwobakach, ogarniając jakieś węzki.

Nie ma. Nie ma odwodów. Nie było za nami żadnej linii. Tak myślałem, a teraz to już tylko pewność i niemoc. Tam, za laskiem, skąd przybiegłem, z tego piekła straconej pozycji, szaleńczej

21

i samotnej wysepki ognia, wypędzony ochrypłym wrzaskiem sierżanta: amunicji, do cholery, biegnij - krzyczał mi w twarz, wyrывая rozpalonego karabin, - przyda się tu, krzyczał, biegnij - tam, na ledwie co, na sztych, płytko okopaną pozycję wciąż jeszcze wali się z chichotem śmierci, żelazo, ryje, szarpie ciała.

Nieprawda, nie zachłysnąłem się, teraz każdą kulę odliczyć. Magazynek wysuwa się lekko na dłoń, ironicznie szczyrzy pustką. Więc można już rozpiąć kołnierz i spojrzeć w słońce, tak okrutne w tym wrześniu, można wejść od tyłu plebanii do kuchni, gdzie kobiety rzucają się na mnie, wydzierają pistolet, chcą gdzieś mnie ukryć, płaczą: Jezus, Maria, wszędzie Niemcy, po coś tu przyszedł, śmierć na księży i na nas sprowadzisz, i wtedy gdzieś lecę na czyjeś ręce, a gdy przenoszą mnie i w nos wwierca się zapach, skręcający kiszki, chrypię - pić, więc podają talerz gorącej zupy pomidorowej, ale ja wysupłuję z kieszeni dwuzłotówkę i ona jeszcze brzęczy na stole, gdy w sieni krzyczą "raus, alle raus" i zupa gorąca leje mi się po twarzy, trochę tylko ścieka do ust, bo w wyważonych kopnięciem drzwiach mundury, takie same miałem na celowniku, jeszcze tam, w lesie, więc to białe nad kieszenią to był ich orzeł, śmieszne, nie rozpoznawałem, zawsze

tylko majaczył, ale białem w środek, cztery palce od kołnierza.

Hände hoch, nie ma rady, wytrącili talerz, tylko dwuzłotówka świeci pożegnalnie na stole, fajansowe skorupy odchrząknęły, kopnięte, pod progiem.

Objęło mnie słońce we drzwiach pocziwym wreszcie ciepłem, Coś matczyngo, także w tych drzewach zapylonych, ugiętych czerwienią owoców i w oddali, w którą warto się wpatrywać, wymijając wzrokiem charkoczące, rozognione twarze. Przekrzykują się zapytaniami, wyzwiskami, pierwsze uderzenie skwitowałem wyjaśnieniem "ich bin Soldat", a jednak trzeba było lepiej uczyć się niemieckiego, choć nie, nie warto, biją jeszcze bardziej zaciekle, teraz więc już ani słowa, zresztą krew wypełnia usta, trzeba odpluwać, ocierając puchnące gwałtownie wargi. Z głębi plebanii wyprowadzają księży, aż dziw, skąd się ich tu tyle wzięło, dwunastu, ja jestem trzynasty, feralne to, czy nie?

Wszystkich nas ustawiają pod ścianą, już dowiedziałem się od pierwszego księdza, że to Biskupice, niedaleko spotkałem się z hrabią Seipio di Campo, odciągnął mnie na bok, informując o nocy rosyjskiej, o wkraczających wojskach. Więc ja dlatego, tak, panie hrabio, wiem, że chciał mi pan pomóc, moi ranni z Lublina, których

eskortowałem, poszli dalej, na Chełm, tamten, któremu przekazałem transport po rozmowie z panem, miał więcej doświadczenia, oddałem panu najskabszych, pan jeszcze nie rozumiał, panie hrabio, ale my osiemnastolatki, to nie szczeniakeria, dlatego tam, na skraju lasu leżeliśmy na tej straconej pozycji, dlatego z rąk, które nie zdążyły ostygnąć, jeszcze drapały ziemię wokół siebie, braliśmy karabiny, by nasze stygnęły, dlatego matko kochana, nie wiem, gdzie jesteś, prawda, przydział do pociągu pancernego, inaczej tam sobie wyobrażaliśmy, czy to znaczy: dowidzenia?

Na boku leży dwanaście karabinów, to przecież te same Lebelles i Berthiery, więc ci policjanci uciekli, jak im się to udało? Słazak pewnie, a może zwykły zdrajca, tłumaczy, że polscy Heckschützen /co to znaczy?/, bandyci będą rozstrzelani i że te są Beweise /podpowiadam: dowody, z grymasem kpiny, za co znów dostaję w twarz/, pan Hauptmann kazał, żeby się wszyscy dla pamięci przyglądali, cała ludność. Więc to dlatego tak ich spędzają, płaczących, wystraszonych, tłoczą na przeciw nas. "Herr Hauptmann - mówię - ich bin hier einziger Soldat, dass sind Geistliche, keine Soldaten. Ausserdem sind wir dreizehn, und hier sind"... Głupi wybieg, nie ocaleń księży, bo znów łupnięcia kolbą, ale niezle trzymam się jeszcze

Księża zaczynają półgłosem modlitwę za konających, a mnie^o cierpną rękę od trzymania w górze, zaplatam na karku. Odbezpieczonym pistoletem, parabellum, znam dobrze, podbija mi brodę, dwaj inni bagnetami kłują koło łokci. Ksiądz po lewej stronie mówi: myśl o zbawieniu, synu, śmieję się cicho, o czym myślisz, synu, o zupie, proszę księdza, droga ta zupa, dwa złote, kluski wyleciały, de profundis clamavi ad Te, Domine, Domine exaudi orationem meam i teraz na prawdę mógłbym wołać głębokości, bo znów nogi flaczeją, niech kopią, niech biją, słońce przypatruje się łagodnym, zasnutym pyłem okiem między czarnymi butami, zapinanymi na szereg klamerek, matczyne słońce, dopiero teraz?... Wypełznąć, przejście, na powrót przejście...

Rozpoznałem przejście, rozłupał je ostry świder bólu. Switem, tamtym piątkowym switem stanęło przede mną rześką, kryształową, chłodną taflą rannego blasku, w którą wpięta była twarz sierżanta Głowinkowskiego. Miał wielkie, białe, wystające zęby, okrągłą twarz, ale nie, jak zawsze, roześmianą: zielony, twardy hełm zdusił jasnym paskiem, opiętym wokół policzków, zwykły uśmiech, tylko oczy były ojcowskie. Powiedział: wstawaj. Na korytarzu szepnął: już. Przekroczyli granicę. Odebraliśmy koperty z rozkazami.

88

Korytarzem, szkolnym korytarzem, biegalem tu przeciez pęta-kiem, z drugiego oddziału powszechniaka, szliśmy nagle cicho do swoich klas. Do swoich drużyn. I wszyscy wolno, z ociąganiem, mając ten brzask okrutnego słońca wrzesniowego za świadka, podnosiliśmy gwizdki do ust, by śpiących ochotników, kolegów, niektórzy jeszcze smarkacze, obudzić do śmierci.

... wird mit dem Tode bestraft.

Powtarzają to znów, chyba już dość ludzi naspędzali, czemu pozwalają na to patrzeć dzieciom?

Es ist mir egal, wo und wie ich sterbe - odpowiadam, naprawdę jest mi wszystko jedno, gdzie i jak umrę - mówię dźwignięty kopnięciami. Jedno z dzieci, umorusane od płaczu, patrzy prosto we mnie, uczezione matczyne- go fartucha. Muszę myśleć o matce - nauczycielce, nie umiem jej pożegnać, gdzie poległa i kiedy, w białym fartuchu siostry PCK, a może ocalała, ale wzięła przydział na pociąg pancerny w Łodzi, każdy wie, co to znaczy, sama wybrała, bo jej powiedział ktoś, że kaliskie PW wystrzelali, powiedzcie siostrze - nauczycielce, tak, dziecko, powiedzcie matce, że syn...

Mały chłopaczek przygląda mi się z tak natarczywą, ~~sik~~ surową ciekawością, że dźwigany od wewnątrz, cholernie to boli, któryś

91

kopnął chyba w żołądek, albo to z głodu, tak, lepiej że z głodu,
bo widzisz, mały, czasem i osiemnastolatek może być nauczycielem,
o nich mówiono: ambasador demokracji w podartych butach, jeszcze
nie rozumiesz, ty jesteś boso, widzisz, chłopcze, ^{a ja} jestem żołnierzem
i dlatego stoję, nie myśl, że się chwieję, po prostu to swobodna
postawa, uczymy się do końca postawy, na ^{przekór} ~~przeciw~~ butom, nie,
nieprawda, nie o te ustawione karabiny maszynowe chodzi, rzeczywiście
chłodzone powietrzem, gdybyśmy mieli, nie zginęła, chłopcze, ta
lekcja dopiero się zaczyna, od tego gwizdka się zaczęła.